

Sudecka
poezja i proza
XLII



Bogdan Nowicki

Sudecka poezja i proza

Enneady

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**
2023

Redakcja
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

Korekta
Paulina Wojciechowska-Cudak

Skład i łamanie
Anna Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

FOTOGRAFIA OKŁADKA I STR. 6
Daniel Grzesiak

FOTOGRAFIA STR. 94
Anna Piliszewska

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2023

ISBN 978-83-964709-3-5

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
www.bibliothecabelaviana.info
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

ENNEADY



ENNEADY

Odkąd powstały *Enneady* Plotyna świat zmienił
Oś nachylenia o stopień. Ludzie, nie wiedząc o tym,
Rozchodzili się o centymetr dłużej z pożegnaniem.
Dalekolotne ptaki wyskubywały nadmiar piór,
A piasek w klepsydrze przeciekał o jedno ziarnko
Wolniej.

Nikt tego nie zauważył, bo jak można zauważyć coś,
Co nie ma znaczenia. Metafizykom bliższe są niewidzialne
Idee od kurzu ścieranego długim rękawem.

Istnienie chce być wypowiedzianym, jakby brak imienia
Znosił je względem siebie.

A przecież dziecko kucające w krzakach, wśród migotliwych
Płam bystrego wzroku, dałoby wszystko, aby pozostać
Nienazwane.

PATHOS

Pathos jest krainą młynów, które skrzypią skrzydłami snów. Wrzeczona czasu mielą tutaj ziarna pamięci upadających liter. Podróż jest długą rzeką, przelewa się przez brzegi zamysłonych Chopinów.

Wieczory pachną maciejką. Słomiane strzechy wsłuchują się w koła historii za oknem, przejeżdżające na przestrzał ceratowych obłoków, wiszących nad latarniami. Między łóżkiem a ścianą wije się asparagus.

Pan N. zawiesza sobie lunetę na szyi i ściąga nią odległe, zgrzytliwe młyny kołujące wokół Wielkiej Niedźwiedzicy – niebo przypomina mu skarbonkę, blaszany wiatraczek ze szparą do wrzucania monet.

Skrzydła wiatraka obracają się, gdy wsuwa miedziaki przez szparę w dachu: słysząc wtedy szmery upadających gwiazd...

DROGA MLECZNA

Kosmate, postrzępione cienie noszą bure kaszkiety.
Księżyc zerka z uśmieszkiem w kącikach ust
ponad oszronioną sztachetą. Nic nie ma ciężenia.
Przeszłość to drzazgi.

We wklęsłym lustrze widać cały odwrócony Kosmos.
Sędziwy okręt Gwiazdy Polarnej szura burtami po
żdźbłach popielatych traw. Słodki i tchnący melancholią
zapach unosi się z nasion.

Każde drzewo ma lat siedem tysięcy, chociaż to pniom
nie dodaje ani jednego słoja. Mech jest tutaj odmianą
motyla żałobnika. A żuki schodzące z księżycowych
promieni noszą lakowe trupięgi.

Pan N. siedzi na ławce przy
Drodze Mlecznej we fraku, śnieżnobiałej koszuli, z czarną
muchą na szyi. Srebrnym nożem nacina wiśnię
za wiśnią, słowo za słowem: w rozerwanych włókienkach

wzbierają znaczenia – sok w pęknięciach
owocu.

KONFITURY

Garbaty krajobraz, jakby cofający się ocean
drzemał co sto milionów lat, nic bardziej
wzruszającego niż teren okaleczony przez
czas, tu i ówdzie brakuje skały zeszlifowanej
do cna.

Nocą wyszczerzone gwiazdy są śmiechem
wszechświata nad tą błękitną główką obracającą się
w nadziei, że dotrze do celu, kiedy rybacy zarzucają
sieć na toń południków i równoleżników.

W głębinach skrzypią stare wieloryby jak szafy
wypełnione testamentami mędrców, których
już nikt nie czyta.

Po murawie toczy się drucziany wózek z parującą
trawą w szprychach kół.

Matka szoruje słoiki, ojciec usmażył konfitury, gdyby
nie umarli, to by je dzisiaj zjedli. Pies patrzy na mnie
spode łba, bo nie wyszedłem z nim na spacer w
posiwiąłym płaszczu.

STROICIEL LITER

Lampiony w jego głowie
Huśtał wiatr, trzaskało światło,
Gasło w skorupie świadomości,

Więc kołysała go skóra powiek,
Gdy szedł ścieżką krawców
Pisma, że konieczność albo magnolia
To wiara każdej rzeczy.

Skupiony na ośmieszaniu tradycji
Letejskiej, światu podpowiadał, że jest
Nieuchronną przypadkowością, podwójnym
Haftem wyszywanym w sobie i obok siebie
Wbrew własnej woli.

Dopóki nie spotkał jej, sowy -
Minerwy, płachty zapadającego zmierzchu,
Duszącej pyszną krtań w pisk
Zamszowego dźwięku.

SPRZEDAWCY SOLI

W naturze wszechrzeczy nie ma
Dla nich miejsca, są monomanią dotyków,
Sprzedawcami soli.

Perypatetycy nicości,
Owinięci chmurą niby prześcieradłem,
We wnętrzu ściśniętego powietrza.

Po nich tylko mięsokostny koń
Pegaz, z podciętymi skrzydłami, obracając się
W krążkach kurzu, napotyka przypadkiem

Pęknięte kamienie, bez środka
Ciężkości.

KALIGULA

Największym miłośnikiem sztuki poetyckiej
Był Kaligula. Choć głuchy jak pień z czułością
Wpatrywał się w drgającą grdykę śpiewaka.

To, czego nie chwyciła jego uszna membrana
Uważał za afront. Z boskości nie należy się naigrawać.

Nuta fałszywa,
Zbyt długa lub zbyt krótka mogła kontynuować frazę jego
Zachwytu, lecz nie ta doskonała, kiedy w błękitnych oknach
Na chwilę pojawiały się łby strażników, pasterzy, kurtyzan.

Brak umiaru temu młokosowi.

Rozpłatał mu gardło, wyrwał strunę głosową;
Zwyczajne nic, miękka żyłka oplata
Zakrwawione palce.

Potem śmignął nią w powietrze – ptaki rzuciły się
Na darmowy żer.

MEDEA

Coraz więcej somnambulików wałęsa się
między sygnałami anten satelitarnych.
Binokle krótkowidzom poopadały na
nos. Cyniczny księżyc wyszczerzył
zęby.

Tysiące metamorfoz zamuliło ujście rzeki.
Antywojenny poeta roztył się i stracił wenę.
W wagonach na ślepym torze wzrosła
liczba bezdomnych.

Medea posiwała w Kolchidzie, kiedy z
powodu zarazy zamknięto ostatni hotel.
Wieczorem w zdrojowym parku słyszeć
tylko klaskanie kłapek
o jej bose pięty.

LUTNIA

Świeżo skoszona trawa ma soczysty zapach.
nic już w niej nie piszczy. Żadnego dźwięku,
żadnego powiewu; źdźbła czekają w sobie
na siano.

Pod gwiazdozbiorem Lutni zauważono czółna
poruszane wiosłami, płynące w naszą stronę.
Jak wytrzymać ich plusk z odległości milionów
lat?

Co wyjdzie poza ten krąg, przestaje istnieć.
Czy jeszcze komuś zależy na kapryśnych
wdziękach pani Ortografii, która nosi zimą
parciany kaftan, a między palcami
rozbite sylaby.



TOPOIDY



JASNA POLANA

Lew Tołstoj opasły jak „Wojna i pokój”,
w białej, chłopskiej rubaszce wychodzi do żniwiarzy.

Na ramieniu niesie kosę, a owady buczą mu
basem.

O świcie pił wodę z wartkiego strumienia, szumiała
pachnąca żywicą brzezina.

Bibułkę obłoków zmarszczył powiew przelatującego
puchacza.

Mateczka Praskowia, chudziutka i siwa jak czapla,
rzuciła wiadro do cembrowanej studni.

Lew Tołstoj wstał, rozejrzał się – na polu kwitły
pomidory, które przykazał zasadzić.

Dalej stuletnie strzechy wypuszczały siny dym,
bocian krążył z pierwszego zwiadu.

Jakbym się znalazł na kartach księgi, której już nigdy
nie napiszę, pomyślał

i udał się ku żniwiarzom.

PETERSBURG

Mikołaj Gogol biega z obcęgami od ściany do ściany
i wyrywa gwoździe, na jakich wisiały płaszcze urzędników.

Newa chlupocze w żeglownym kanale i oblizuje
cumownicze kamienie.

Do pralni niosą w koszach fantasmagoryczny Petersburg
stare rajfurki.

W czasie kanikuły w zaułkach cuchnie woda w beczkach,
a liszaje na tynkach wyparowują zbutwiałą treść.

Jak żebra przedpotopowego gada rosną rusztowania
wokół czynszówek.

Worki wapna dźwigają malcy z uczuciem próżni w żołądku,
którzy już nigdy nie pójną do freblówki.

Mikołaj Gogol, drapany pazurkami diabła, siedzi na
zmiętej pościeli, niczym pusta forteca wypełniona wodą.

Okleja szarymi arkuszami dziurawy sufit.

GURZUF

Antoni Czechow nie podstrzygł dziś rano bródki gęstej jak czysta wełna.

Drobne, liliowe ptaszki piją wodę z ogrodowego akweduktu, zrobionego z wydrążonego bambusa.

Na okrągłym stoliku już drugi tydzień leży pierwszy egzemplarz „Damy z pieskiem”, zalany słońcem.

Gurzuf uchodzi za kraniec ziemi, a na okrągłych mapach jest umbilicusmundi – pępkiem świata.

Czarnomorskie fale szorują tutaj kolorowe kamyki od milionów lat – więc są cienkie jak skorupki jaj.

Antoni Czechow po poobiedniej drzemce wychodzi na plażę w płowiejące mirażę parasolek.

Meduzy wyrzucone na brzeg wsiąkają w jego mokre płócienne półbuty.

MUSTAMAKI

Leonid Andriejew ucieszył się na widok worków
z trocinami – lubi zapach zmielonych drzew.

Świta, mgła skropiła się na świerkach, dachy
szop parują, choć tworzą się jeszcze zatory sryżowe na
rzece.

Włochate ćmy, zwijając skrzydełka, chowają się
w szpary popękanej kory. Na dukcie skrzypi
wózek, ciągnięty przez leśnego

ni to fauna, ni to centaura, ni to trolla.
Pewnego razu po kąpieli w jeziorze raki go oblaży,
śmierdział, więc wstydził się stanąć między ludźmi.

Leonid Andriejew dał mu wtedy chleba i słoniny,
a ten co tydzień przywoził mu te same dulki.

A gdzie masz łódź? – zapytał wreszcie.
A niy ma, panie. Niy ma. Poszła na dno.

Leonid Andriejew wpatruje się w bielutkie bierwiona,
przy których na stole leży sterta rękopisów,

i palcem dociska zasychające litery.

GRASSE

Iwan Bunin kolejny dzień nie wyszedł na wapienny cypel, aby popatrzeć na grzbiety delfinów, prujących lazurową toń.

A przecież jeszcze czekały na niego kręte uliczki, pinie smagane przez atlantycki wiatr, woń morskiej soli na wietrzących się prześcieradłach. Czerstwy

Michel, stawiający przed nim lampkę wina, omiatający blat stolika serwetką, niby śnieżnobiałym skrzydłem troskliwego anioła,

dziewczyny niosące kosze soczystych winogron, szusujące na kocich łbach, owiane ażurową mgłą ekwipaże, aromat otwieranych perfumerii.

Iwan Bunin zamiast słów czuje dym w gardle, właśnie ukończył „Przeklęte dni”, dni deski mające stemple graniczne obcych krajów.

Odsuwa kotary, wychodzi na ukwieconą werandę i nasłuchuje: to stróże stukając prętami, budzą gwiazdozbiory.

MIĘDZYDROJE

Pątnicze powiaty notują przyrost naturalny jałmużników –
Pascal napisał list, aby skłonić do szukania Boga.
Grupa chilijskich archeologów odkryła domy z gładkiego kamienia.
W sadzie somnambulicy chodzą w śliwkowych płaszczach.

Bruce Willis reklamuje japoński napój alkoholowy.
W Milanówku słyhać ogromny łoskot – to konserwatorzy
otwierają kufer wszechświata, fortepian.

Tomas Tranströmer zachwycony lutowym powietrzem czuje się
wysmienicie, kartkując tomiki wierszy.
Sędziwy Lukrecjusz porównuje wizerunki, które odłączają się
od ciała, z wylinkami pozostawionymi w lecie przez cykady.

Kotka Eleonora przewróciła buteleczkę tuszu, czarna kałuża
rozlała się na blacie mahoniowego stołu.

Dziecięce pytania dlaczego niebo jest niebieskie, a morze
twarde i nieruchome, pozostają bez odpowiedzi –
pani Szymborska z panem Baczyńskim rozmawiają o tym
przez telefon.

Astronaucci rozpinają plandeki nad globem, ale to nic nie daje,
skoro meteory wciąż spadają
na plantacje truskawek.

STRYDON

Chromy anioł zwiniętą krawędzią piór
zanurza się w pooraną twarz świętego Hieronima.

Klepsydra pęka w kącie, piasek zdejmuje perukę
cienia, jest tylko ziarnko przy ziarnku, zwęglony
wolumin i ropucha na glinianym dzbanie.

Pod ławą parcieją jabłka. Pożółkł inkunabuł
ze stearyną na twardych okładkach.

Na sztaludze siedzi kruk, jakby dopiero co opuścił
paletę malarza, nasyca tuszem metalicznie
połyskujące skrzydła.

Za oknem zimowy pejzaż, pola w szarych
bandażach, czyjaś postać, znikająca
w sienie dali kreską.

Nasmołowany, drewniany most nad
zamarzniętą rzeką, nie sprzątnięty stóg siana
pod ospowatą czapą śniegu.

Garb saneczek ześlizgujący się z pagórka,
a wokół rozsypane kropki dzieci, mające za
plecami drgające półksiężycy,

kiedy strażnik wychodzący z omszałej bramy
omiata całą domenę pochodnią.

WARSZAWA

Na pchlim targu Białoszewski Miron
chudy, odarty do kości, sprzedaje za pęczek cebuli
„Album Morfeusza” z niebieską wstążeczką na grzbiecie
i szarą okładką, wyprasowaną zimnym żelazkiem.

Gdy go dotykam kciukiem lewej ręki, rękawy
jego marynarki porastają pleśnią. Wyjmuje stertę
uczniowskich kajetów i kładzie je obok książek
jak guziki koloru morskiej zieleni.

Przez moment wygląda tak, jakby starał się coś
sobie przypomnieć, a potem chwyta glosariusz i szuka
w nim czegoś, czego nie znajduje – więc poszukuje dalej,
aż do końca słownika.

Wtedy zza rogu ulicy wybiega dziewczynka o twarzy
wojennej matki, pchająca wózek dla lalki zrobiony z
wikliny.

A za nią wylewa się tłum – falami
dobiegają łoskoty i głośne, nieartykułowane krzyki.

Białoszewski Miron zatrząskuje słownik,
z niedowierzaniem kręci głową i zadziwiająco
szybko nakłada swój pluszowy kapelusz,
znikając w szufladzie sieni, gdzie płonące
miasto szczotkuje frędzle snów.

WYZYSKOWICE

Najbogatszy mieszkaniec Kołyszko Kazimierz
tłusty, opalony, z zezem pilnującym każdego
zakątka placu, sprzedaje klamoty, bibeloty
i sygnety z rżniętymi, szklanymi oczkami.

Ściąga nasadkę ze swego wiecznego pióra
i pisze w notesie oprawionym cielęcą skórą,
a potem w skupieniu przelicza słupki cyfr,
aż mu skapuje z dolnej wargi ślina.

Jest maniakiem, perfekcjonistą – nie ma takiej
rzeczy, której nie opchnąłby z zyskiem. Chou – chou!,
woła do swojej żony. Chou – chou!, do gapiowatego
syna, zakładając na rękę złotą bransoletę.

Pan świata, boss, dysponent mienia – wraz z jego
przyjściem rozlegają się dźwięki trąb i rozbłyskuje
reflektor.

Mierzi go tylko sucha staruszka okutana w
poszarpane szmaty, skulona pod murkiem sto
pięćdziesiąt metrów od niego, handlująca

owłosionymi poziomkami, wygrzebanymi
z popiołów miasta.



DZIELNICA CH.



CHWILA W DZIELNICY CH.

pajęczy las ruszył w moją stronę –
choć nie zdobyłem żadnej władzy
nad tarczą ruletki, liczę tylko na to
co się nie zdarzy.

poryw wichru porwał połowę dachu,
więc widzę spadające do mojego łóżka
gwiazdy – ziębnę, kiedy topnieją
na ramionach ubielonych solą.

nie mam już zapasu agrafek,
ani szpilek, aby pozapinać jakoś
tę ostatnią chwilę, która będzie
wyglądać, jakby ją czołg rozjechał

swoim bólem...

RAPORT Z DZIELNICY CH.

nostalgia za pełnią, a jednocześnie melancholia
wynikająca z kruchości istnienia, wydają się najbardziej
cechować tę dzielnicę, pod jaką rusza się węgiel.

w wąskich uliczkach ze światłem, barwą, cieniem, jawą
wchodzi się w sen. i odwrotnie, więc kamienice pulsują
rozpaczą albo olśnieniem wietrzejących cegieł.

ceremonia uchylania okien, wręcz ich obsesyjny
faktografizm w połączeniu z perspektywą wysychających
na sznurze pościeli, znakomicie oddają nieuchwytność
dzielnicy Ch.

relikt i objawienie – swoiste credo placu Dygi albo Szulika:
spazm żalu, nierozstrzygalności, przemijania,
cierpienia – po jakim można pływać łodziami aniołów.

tu zapach sieni po deszczu, mokrych framug i papy
na dachach, suszonych śledzi i warzyw na straganach
jest ceratą pamięci, chociaż widmowe izby wsiąkają
w ściany, a żyrandole na łańcuchach obrastają sierścią.

cienie staruszek nadal snują się z miotłą na plecach
i wymiatają z kątów szkielety, lecz światło reflektorów
przejeżdżających aut płoszy je – wtedy czmychają tam,
gdzie czas żują piwnice...

PRZEDŚWIT W DZIELNICY CH.

po odwilży uliczki są pełne brudu, szary śnieg
ześlizguje się ze schodów – każdy kot biegnący
rynnami ma katar. blacharz Joachim wychodzi
o świcie – mgła skrapla się w jego powiekach.

na placu targowym bruk zaplamiony jest sokiem,
cieknącym z dziurawych koszy. bezzębne baby
piłują kawałki szkła – na amulety. z bram

wyjeżdżają pierwsi dostawcy pieczywa –
mączny pył unosi się za nimi w powietrzu
i nagle cała dzielnica pulsuje zapachem chleba.

wreszcie budzi się dziadek (bez niego na próżno
kręci się nasza planeta), będzie truchtał
z kąta w kąt, pokroi nożykiem jabłko.

wejrzy w półmrok na zewnątrz
przez zakurzone okno, nim wkręci
nową żarówkę – wtedy to jabłko i izba zostaną
pokryte pręgami światła.

POWIDOKI W DZIELNICY CH.

dzielnica warczy jak wściekły pies, z bram unosi się zapach
zwiędłego anemonu i zapleśniałych ubrań
biednych dzieci, przełamujących się pajacykiem
w śmiesznej czapeczce.

staruszki z torbielami gardeł siedzą z łokciami
wspartymi o parapety. czują ukłucia igły w
sercu, kamyk w kolanie, gwóźdź w bucie, suchą drzazgę w
pożółkłym od nikotyny palcu.

bezszelestne koty, elastyczne, w czarnym welurze
na zardzewiałych rynnach wyprzedzają
swoją punkt ciężkości – cień we fraku wyciąga je z czarnego
cylindra.

szemrzące w powietrzu płatki demaskują rejony
fałszywych wyobrażeń – bo może to tylko tłusta
sadza oprósza kwadraty okien? – zgryźliwy

wiatr zaciera malunki
na szyldach knajp i krawieckich zakładów – po żonglerce
popiołem na podwórkach wynosi się stąd gdzie pieprz
kiedyś rósł, a dziś suszą się grzyby w strychowych
suszarniach.

DOM SPOKOJNEGO DZIECIŃSTWA W DZIELNICY CH.

Dzieci wyciągają rozsypane pigułki z kieszeni
i wtykają je do fiolki.

Z liściastej jesieni kapie sok światła.

Park przebrawszy się w odwrócony kozuch i kapelusz
z łopuchów podkrada się do ławek.

W różnych domach, umieszczonych na sferach
planetarnych, dźwięczą sopte.

Dni stoją teraz głębiej w swych przegródkach,
napierają na tygodnie ścierpięte zimnem.

Ryby w akwariu są chore, mają podniesioną łuskę,
leżą na dnie obrzękłe, z zasiniętymi pyskami i wysadzonymi
oczami.

Wychowawczynie rozdają pęki siwego ostu, nadleciały
tutaj z wraskiem wron, tworząc wzdłuż parkanu
czarno – biały oksymoron mrozu.

SZAFY W DZIELNICY CH.

Hałas w szafach wywoływały duchy: mundur dziadka,
mundur ojca, mundur syna przeżarty przez wieczne
mole.

Armie płowiały między sobą, miały podkrążone
guziki. Zagłębiały się w wełnach
błot i w glinie drelichów. Kto wie jaka dusza, kto

wie, jaki struchlały kurz wyzionął z nich na zawsze?
Coś chrupnęło, ukruszyło się. Drewniany blat stołu
zbielał – niby kości pod

ziemią.

SEN W DZIELNICY CH.

na taboretach nie było już miejsca dla kiści kwiatów. miał na sobie
wytworny garnitur, wykrochmaloną koszulę i kaszmirowy
krawat w zielone groszki.

napoił swoje zwierzęta i zapadł się – powstał dół. taki na miarę
trzeciej godziny
w nocy.

najady przybyłe z doliny zaglądają do niego z koszykami czarnych
grzybów i jagód. co widzą? tafłę wody na dnie,
przykrytą liśćmi.

a on?
Andromedę, Lutnię i Węgę, siedzące bokiem, ze zwieszonymi
nogami

nad jego grobem.

ZMIERZCH NAD DZIELNICĄ CH.

Wiatr pogonił liście pustą uliczką węglową,
jaskółki skuliły się w gnieździe pod dachówką.

Ciała niebieskie wiszące nad zakurzonym rynkiem,
skrzypią jak budy na odjeździe.

Żadna bibuła nie wysie melancholii gasnących
lampek w sypialniach, skąd wyfruwają staruszki
z chustami na głowie.

Zbierają badyle pomidorów, kartofli, trzciny,
kupki zboża i potargane gałgany.

Na konopnych sznureczkach noszą torebki
z suszonymi goździkami i z otrębami.

Jak nietoperzyce nasłuchują świstu spadających
gwiazd, trzeszczących konstelacji wysychających
parapetów

i rozpiętych w transie błon lotnych.

SZKLARZE W DZIELNICY CH.

Jesienią intensywniej zapach proszku na mole w starych, bejcowanych szafach. Wiszące lustro śniedzieje nad umywalką. Żadne odbicie nie jest już tak czyste, jakby wyszło prosto spod z igły. Pergamin twarzy przypomina rozstaje dróg.

Przez cały czas słychać westchnienia, dygot i zgrzytanie zębów wiatru. Do smutnych dudnień bębnów w kominie dochodzi szmer osypującej się pod blachą pieca sadzy. Chybcóż się święte obrazki na ścianach.

Po wymiecionych uliczkach chodzi majster zabawek. Za nim ciągną się frędzle poszatowanego przez gradowe chmury księżycy. Nikt już nie otwiera przed nim drzwi. Na popielatych deskach podłogi stoją rzędy słoików z marynowanymi rydzami, które lakuje się na siarczystą zimę.

To o tej porze łamią się najczęściej kruche kręgosłupy wiatrów, odwiecznych stróżów, trzaskających rano otwieranymi okiennicami. Kotłują się w ich głowach nieartykułowane modlitwy pod inflacją słońca. Na targu noże łechtają rybie łuski. Karpie pluskają w cynowych wannach. Szklarze ścierają gąbką prowincję z szyb.

TĘSKNOTA ZA DZIELNICĄ CH.

nie zapomniał o niej, nawet tu, na brytyjskim
bruku, a tym bardziej przy kuflu Guinnessa, więc zagląda
tu i tam, stuka palcem w nieoheblowane, to znów zziązany
wybiega na krawędź wyspy, za jaką przepaść woła mu:
a kuku!

zna tę cizbę kołowrotekóv, kręcących się
z piskliwym szmerem, dokoła nawijających watę
myśli, kiedy wysycha gardło – a doktor Wulc nazywa to depresją.

zamyka oczy, sufit staje się pionowy, ściany płaskie, podłoga miękka –
pałętają się po niej głosy mieszkańców w obcych językach,
gwar wypełnia wszystkie wnęki, doły i dziury pięciu zmysłów,
z których wysypuje się miękka kreda,

pozostawiająca pod żebrem wydmuszkę...

RODZINNE



CERATA

Babka była świetlistą meduzą – obejmowała wszystko i wszystkich, chrupała jabłka, darła pierze, ćwiartowała mięso, zmiatała paprochy z podłogi, wędziła pod dachówką kielbasę.

Otwierała skrzypiące okiennice, nakrapiana prążkami świtu, płoszyła jednorożce drżące na parapecie – dla niej piały koguty w sieni, pachniało sianem i miętą.

Wymowała z kanapy dziadka, który był tak chudy, że czuła jego dygocące piszczele – owijała je we włochaty koc dwóch wojen światowych i spinała agrafką.

Kiedy jesienią wilgotniały ściany, a spod tynku widać było cegły i woda ciurkała wzdłuż ramy zdjęcia ślubnego jej i dziadka, czuła wyraźne wyciekanie domu pomiędzy palcami.

Wieczorem wkładała zęby do wody, które opadały na dno mlecznej szklanki – i gdy czekała aż zasną, niczego mi nie opowiadała, była pełna wymarłych obrazów, wygładzonych niby cerata pod powiekami.

MUNDURY

Dziadek chudy jak patyk
z przyjemnością maluje
na tekturze wszystkie
mundury jakie zakładał

i do każdego ma inny język
kwiatek z innego ogrodu
guziki twarde płócienny plecak
i drugi kieliszek

lubi kozi ser
ręce położyć na kolanach
po wystruganiu ułana
z bukowego drewna

pamięć ma wolną od wszelkich
więzów więc wciąż wraca w te same
miejsca

na skórze rozkwitają
starcze plamy

lecz nawet słońce nie wierzy
że dziadek kiedyś zniknie

a przecież popiół leży
na wszystkim

KRZEW

Matka była postacią, w której promieniowało
blade słońce na kuchnię skutą lodem, kiedy jej
bezradnie zwisające sople palców nie
wiedziały co włożyć do garnka.

Czekała na niebieski opar ponad dachami,
przykładała zimne żelazko do duszy męskiej koszuli,
szorowała biel chropowatej lamperii, czesała
włosy szorstkie jak sznurowadła.

Wszystko przebaczała, lecz niczego nie zapominała.
Gdy wracałem z ośnieżonego lasu i kłamałem, że
byłem na roratach, w jej lewej gałce ocznej
drgał fioletowy nerw.

Chowała wtedy kosmatego konika do komórki,
opowiadając o dzieciach, które są grzeczne i pilne,
nie topią w rzece swojego elementarza, i nie moczą się
nocą, licząc imiona demonów.

Nie pamiętam, kiedy przestała mówić
całymi zdaniem, jej twarz zamieniła się w grymas,
jakby kto zerwał z niej zasłonę domową,
ukazując siwowłosy krzew.

TERMOFOR

Jest mały, siwy, ma sztuczne zęby, jego ręce
pokryte pergaminową skórą drżą niby frędzle
kanapy w przeciągu.

Słysząc w nim tylko mamrotania, mruknięcia,
szepty i dźwięki przypominające dziwny,
stłumiony śmiech. Erozja atmosferyczna
poszerzyła pęknięcia na jego czole.
Wewnątrz wietrzeją myśli
meteoryty.

W bieli prześcieradła pozostaje żółty odcisk.
Naciąga na siebie kołdrę, otula się pod
samą szyję. Wsuwam mu worek
pod nogi z ciepłą wodą i to go
dopiero wzrusza.

Patrzę w okno. Śniegu jest coraz więcej;
oblepia gałęzie, które zrobiły się podobne
do nowo narodzonych szceniąt.

SZYBA

Ojciec był postacią pneumatyczną,
nie był więc ani pasterzem, ani rolnikiem,
ani komiwojażerem w rozklekotanym
wagonie kryształowych przeciągów.

Nie huśtał mnie na drewnianych huśtawkach,
nie kręcił na skrzypiących karuzelach, nie pokazywał
całego pyłku świata schowanego pod skórzaną kurtką,
mającą słodkawy zapach.

Nigdy nie szusował ze mną na rowerze po
gładkim asfalcie, nie był mistrzem w hamowaniu
w nitkach babiego lata, kiedy dogorywają
w krochmalu dni białe drzewa.

Tylko chmara ciem wyfruwała z jego kamizelki,
gdy pojawiały się czapy śniegu w oknach, chcąc je
odgarnąć podnosił szeleszczący wiecheć miotełki,

ale wciąż natrafiał na przezroczystą szybę,

nie widział jej – tak jak mnie od dnia
urodzenia.

FLĄDRA

Ciotka rozeszła w sobie. Mierzy świat groźnie
wyglądającym dziobem. W czarnej torbie
pamięci ma jakąś latarkę, nie najgorszą
na małe pomieszczenia, ale zupełnie
niewystarczającą do lodowcowych
jaskiń.

Notuje w liniach papilarnych sen:
musi ułożyć kwiaty i załatwić różne inne
sprawy – na przykład pralnię.

Z prześcieradłami da sobie jeszcze
radę, ale najgorszy kłopot z kocem,
który ma mysie włosy i budzi w niej ciągły
wstręt,

jak ja – jej najmłodszy siostrzeniec.

POGRUSZEK

Lubi placki ziemniaczane, nadziewa na widelec
kawałek, zjada go i pociera nos. Budzi się o świcie,
kiedy ptaszek za oknem wydaje trele.

W chłodne dni siedzi przed filującym ogniem
z drewniak, z rękami złożonymi na kolanach.

Zestraja się z płomykami, których faliste linie
przypominają zapis sejsmograficzny na czarnych
żebrach popielnika. Wtedy bezwładnie opadają
mu ramiona, zgięta cienka szyja i spiczasta
broda spoczywają na tułowiu, jakby ledwie
dawał sobie radę z własnym ciężarem.

Trzeba go przenosić z kąta w kąt, bo inaczej
deptałby sobie po piętach wykrzywionymi
pantoflami. Półkole księżycy wisi w próżni
pod białym sufitem. W miejscach, gdzie
siedział pozostają włochate plamy.

Kiedy zlatywał ze starej gruszy nie zdążyłem
złapać go za rękę. A może nie chciałem...

CHUSTA

W przestrzeni paradoksalnej wszedł w ścięty
Las. Babcia dała mu na drogę kromkę chleba,
Flet nocnego słowika, skrzygnięcie skrupułów,
Siwy blask okna. Na podwórku stały beczkowszy

Wypełnione mielonym makiem. Trzeszczały
Wyglądzone do połysku dyszle. Wraz ze zmarszczkami,
Na czole babki otwały się parasole. Szmuglerzy pierwsi
Wzięli nogi za pas. Z obłoconymi butami ugrzęzli

W Wielkiej Niedźwiedzicy. Ogrodnik, mrużąc coś
Do siebie, powłókł się po świeżo zagrabionej
Ścieżce i, zabrawszy koszyk z chwastami, odszedł, a
Pies zaszczekał. Dwoje kochanków zawiniętych w

Całuny nicowało wciąż ten sam temat. Pręgowany od
Tarcia moren lodowcowych, wieczór rozpostarł pogięte
Skrzydła. Na małej stacyjce ktoś czknął przy kuflu
Piwa. Cyferblat księżycy wyrzał z za chaszcy, podobny

Do ciekłej rtęci. Wspaniałą pełnią pociągnął
Nad pole brukwi. W ciszy złożonej ze szmerów
Przykleił się do parapetów. Wybielił babcię machającą
Haftowaną chustą...

SIOSTRA

Coraz więcej martwej natury, usypanej
Z wulkanicznych tufów Wezuwiusza. Rachityczne
Drzewa noszą szale o długich frędzlach. Ocknęły się

O świcie sieroty. Sapią pod ciężarem dziurawych wiader.
Robotnicy w brezentowych kombinezonach szuflami
Przesypują popiół z miejsca na miejsce.

Na sfastrygowanych mapach nie pozostała już żadna biała
Plama: po siatce południków i równoleżników tańczy
Małpka z posiwiąłą główką.

Przyjechała siostra, przywiozła walizkę
Jabłek. Zapachniało domem, chociaż wewnątrz jej butów
Wypełniał proch.

Jeżeli coś istnieje bez logicznej przyczyny,
Po której stronie znajdują się zmarszczki
Tej obolałej planety?

OFELIA Z WOSZCZELI

Pokroiła chusteczki, przekonana, że to ciasto na makaron. W pyłe kurzu wytrzebanego z materaca, odnalazła kształty czyhających na jawę postaci.

Kraj jest zaniedbany, zwłaszcza na prowincji, gdzie brzydko pachnie kapuśniakiem, mydlinami kałuż, i rupieciami w chaszczach, przez które przecieka rdzawy deszcz.

Po drodze płynie łódź z czarnego drewna, leżą w niej wszystkie słoneczniki krótkiego lata, i komiwojażer, któremu czy to w gardle, czy też w głębi nosa coś świszczuje, gdy oddycha.

Wiadukt nad torami kolejowymi obsiadły kruki – są świętymi zakonnikami zmierzchu. Siedziały tu na długo przed wojną i za komunistów. Na żeliwnym przęsle z jednej strony jest wydrapany „Hans”, a z drugiej „Grisza”.

Jest córką któregoś z nich, jednokołowego księżycu, co na chwilę zamknął ślepie.

Za paczkę skrętów pokazywała ludziom swój rozdwojony język, ale dzisiaj to nie ma żadnego znaczenia.

Drylując zamszowe śliwki może wreszcie pogrążyć się w siebie, w pestkę.

TRWANIE



ETUI

Coraz mniej jest małych miasteczek,
gdzie księżyc sierść strzepuje na podwórzu,
we wszechświat zagląda się przez dziurkę od klucza,
słysząc stukot kół na kocich łbach i trzeszczące
lato w okiennicach.

Coraz mniej jest pobielonych izb,
gdzie muszkatel bezgłośnie traci płatki,
listy pisze się odręcznie na stole ze szramami noża,
woda mętnieje i kiśnie w misce – moczył w niej nogi dziadek,
na parapecie jabłka pachną.

Coraz mniej jest dębowych, bejcowanych szaf,
gdzie wielopokoleniowe płaszcze szczypie naftalina,
grube swetry z golfem pamiętają obrzękłe niebo na karku,
ziemia odlepiona z bucików dzieci bawiących się w chowanego
kresowieje, kresowieje...

Coraz mniej jest słów nie rzucanych na wiatr,
stron księgi przewracanych na pulpicie, dzwonek
z duszami u drzwi, niezarośniętych mogił, majsterkowiczów
latających sklejkowym samolotem, marginesów polan,
na których można schować okulary do etui.

TRWANIE

Moja ulubiona gruzińska poetka, Medea Kachidze odwiedza mnie czasami w bezsenne nocy. Siada na taborecie i szydełkuje swoje wiersze. Jest

długowieczna, jej czarne oczy wyblakły i skórę ma przezroczystą. Widać przez nią susz do palenia, jaki zbieram na zimę. Mówię do niej

łamany rosyjskim, wtedy ona przykłada palec do warg. Więc milczę. Oglądam w niej rzeczy, których nie ma: cerkiewkę z deszczulek i dzwonnice

z tarcic. Stado baranów bez rogów, cmentarz szpitalny zarośnięty chabrami. Nagle wychodzi tak cicho, że tego nie zauważam. Potem szukam

jej wierszy w antologiach. Urodziła się w 1933 roku we wsi Achalsopeli. Bez niej nigdy nie dowiedziałbym się o tym miejscu. Właśnie nakarmiła kury. Zerwała

kiść winogron. Zmęczona łapie rozrzedzone powietrze 3916 metrów nad poziomem morza. Wdycha księżyc ze świstem oskrzeli, a jej wiersze są coraz bardziej

onomatopeiczne.

JONASZ

Przyoblec to, co niewidzialne, ale czym?...
Lepiej nie wychylać się poza pigułkę humoru.
Wszechświat to zimny, dziurawy staw. Czeluść
bez rezonansu.

Jutro z czarną przepaską na oczach puka
w dębowe deski konfesjonału. Bezdomny śni
o świerkowych bierwionach domu. Nad płachtą
gazety skrzypi Wielki Wóz.

Macocha za ogrodzeniem spulchnia łyżką ziemię
i wypełnia nią walizkę. Włochaty anioł rozcapierza
szerokość stopy, której nie ma – opuścił się tutaj
z nocnym meteorem.

Do Morza Białego wpływają białe rzeki. Foka nasłuchuje
pękającej pokrywy lodu. Rybitwy łapią
wodą zatopione ryby. Prysnał Jonasz z brzucha wieloryba –

kiedy go przywieziono na ojom, zdawało się, że na
wózku przywieziono jedynie same nogi.

Przyłóż palce do mapy. Czujesz wypukłe
czy wklęsłe miejsce?

KONKWISTADORZY

A zatem czeka nas Mars.

To kwestia czasu, a nie loterii. Załapie się każdy kto chce jak na tanie linie lotnicze. Skolonizujemy tę planetę z bufetem, klubem Go-Go, i wieżą Eiffla w szklanej kuli.

Wybierze się Miss Uniwersum w zielonej sukni z welwetu i po raz pierwszy ten tytuł będzie adekwatny do okoliczności. Piękność otrzyma czek na 50.000 marsofranków, plunie nań (oczywiście na szczęście), nim wsunie za elastyczny stanik.

Otyli zapiszczą z radości, bo dzięki marsjańskiej grawitacji staną się lżejsi o połowę, niezależnie od wzrostu, posiadanego majątku czy też funkcji publicznej. Hamburgery i frytki będą git, a weganie pod kapeluszem z szerokim rondem zacisną tylko koński ogon.

Każda para wytnie sobie swój własny kawałek kosmosu w górze – teraz tu będzie rodzinny dom, z kosmatą Mleczną Drogą w tle, z planetami na szelkach i miotełkami komet odkurzającymi niebieskie pipidówki.

Dzieci, poczęte oczywiście in vitro (ze względu na higienę i potrzeby rynku), nie będą zadawać się z byle kim i nie będą zadawać głupich pytań.

Starość stanie się cieniutką srebrną nitką w Obłoku Magellana. Nie będzie już tego, co niczemu nie służy, na przykład pachnące jabłka na dnie wiklinowego kosza.

Z motelu somnambulików, po wstrząsowej kuracji, zaczną wychodzić w świetle reflektorów konkwistadorzy w ciasnych skafandrach,

niosąc w słoikach ciszę i przejrzały na wylot
księżyc.

WIELORYBNICY

Wieloryb – sen osiadł na mieliźnie

Odchodzą rybacy w gumowych płaszczach
Z płatami mięsa

Kobiety dźwigają wiadra lepkie
Od wodorostów

Rdza ubarwia ich włosy wylewające się
Z zagrzebanego w piasku parowca

Wytrzeszczone bulaje szoruje w transie
Lodowaty wiatr

W środku proteza ręki robi dokładnie

To samo

ZIMNA WYSPA

Spopieliała się ich pościel
Stratą czasu, siwym szronem snów,
Stertą szeptów, prochem księżycy,
Wyskubanymi nitkami ciemności.

Goły pokój, zdmuchnięty
W bezsenne noce stracił wiarę
W prostolinijny mebel, na którym
Rozgrywały się, w erotycznym spazmie,
Błuźniercze westchnienia.

Teraz uchodzą z ciała płynnym
Cieniem, dźwigając własne winy i
Zębów beztroskie dzwonki, próżnia
Po nich opada i choć nie kaleczy,
Boli

Skórę: jego w baranim, jej w króliczym
Ukrytą futerku.

PEAN NA CZEŚĆ KOTA

Miejsce przy kominku osmala kudły kotu,
Co wabi się Eleat i zna lisie podstępny pod pazurami.

Dalej niż myśl nie przebiegnie. Tylko w środku czuje się
Dobrze i w kufrze, gdzie gromadzi pstre skrzydełka – płaszczyki
Z motylarni.

Czy ktoś ma czy nie ma racji, łapy nie daje do zgody.

Ci z drugiej strony pręgów nudzą go swoim gadaniem.
Wypina w łuk tryumfalny grzbiet na plecione bzdury.

To, co stworzone znajduje się poza nim.

Jego kroki rozchodzą się w przeciwne strony,
Kiedy strąca na zbity łeb obraźliwy sylogizm:
Jeżeli każdy kot jest ssakiem, a każdy ssak
Jest kręgowcem, to każdy kot jest kręgowcem.

Lecz on jest puszystą pneumą, w którą natura
Tylko na chwilę wepchnęła oścień szyderstwa:
Kości!

Zwija się w kłębek, w dokładne nic, aby żadna rzecz
Nie mogła mu zadać bólu. Wtedy wraz z nim eter
Przymruża ślepią.

Bez żalu zostawia głęboko za sobą
Całą zewnętrżność, w mruczeniu doznając
Idealnego bytu.

JEŻ

Nasłuchujemy Tyfona, jak jęczkiem
Spija mleko z gliniastej miseczki.

Pije zgodnie ze swym przekonaniem,
Że w rzeczywistości wrogów nie ma.
A zimę się przesyphia.

Złożony przewlekłą chorobą starości,
Wciska się pod wełniane swetry
Mchu.

Przypomina gatunek ciernistego krzewu,
Kiedy pełnymi garściami głaszczą go
Stery liści.

Pojmuje przyrodę przy pomocy niej samej,
Potrafi mądrze i chytrze unikać meteorów,
Gradobicia, deszczu, udarów słonecznych,
Zbijając się w ościstą kulkę.

Stróżuje aż do marca, by naszeienne
Sprawy nie przemieniły się
W szufłę popiołu.



WYCIĄGACZ KLESZCZY



KAFKA

Zima leży w obierkach. Synoptycy od dawna zapowiadali odwilż. Z mapy pogody ściekają soki gąbczastych pni drzew. Siwiejące blond włosy staruszek wyglądają brzydko.

Mieszkania wchłonęły w siebie rzeczy codziennego użytku: są spuchnięte i trzeszczą szparami. W suterrenach czuć woń mokrego tynku. Okna nadymają policzki – szyby zaraz pękną.

Dymią podwórza z pałąkiem trzepaku. Kondukt żalobny wyszedł już z opustoszałej sieni. Wszystko, co żyje wyslizguje się na zewnątrz i tysiącami strumyków wpada do Wełtawy. Z rynny zwisa sopel porośnięty białawym mchem.

Pan Kafka w drodze do zamtuza rozmawia z synem handlarza ryb. Zamawia jesiotra. Chwilę patrzy na gumowe rękawice zrudziałego młodzieńca.

– Niech będą dwa – mówi, myśląc o swoim ojcu jak o kleszczu.

KERTESZ

Dunaj wlewa się raz do Budy, raz do Pesztu. Nadbrzeżne mgły nasiąkają nim jak bibułka atramentem. Ludzie siedzą w szklarniach kawiarni i karmią wieczorem koty. Dzieci przychodzą na przystanek trolejbusowy w strojach kąpielowych.

Starcy siedzą na ławkach i jedzą krwistą czerwień arbuza. Po nas choćby potop, myślą, patrząc na nurt mulistej rzeki. Lewitujący w kłębach kurzu żebrak, mimo upału, ma gruby płaszcz i dwa lewe buty.

Na błoniach leży zwinięty namiot cyrkowy. Żongler ssie plasterek cytryny, więc ma kwaśną minę. Struś siadł przy misce i zanurzył dziób w ciepłej stawie. Patrzą na niego małpki w klatkach o ludzkich czaszkach.

Pan Kertesz ćmi cygaro przy drucianym stoliku. Gdyby smutek dymił rozerwałby jego walizkę – ma w niej lusterko, mydło, pastę i szczoteczkę do zębów, dwa tomy opowiadań Kafki, bieliznę, trzy listy od Marty

a także kleszcza w pudełku od zapalek –
na wszelki wypadek.

RULFO

Piasek szeleści w kolbach kukurydzy. Wysypuje się na rozeschły stół z podrutowanych worków. Ćmy fruują w dziurawym dachu. Wdowa poduszki pruje. Żdźbła na progu pozlepiały się – od kroków stały się mazią.

Muł ciągnie klekocący wóz. Chłopi z wąskimi szparkami oczu już nikomu nie wierzą. Nikt nie wie, jakie konstelacje napierają w owym miejscu, które nazywają się przyszłością. Ziemia, jaka ich czeka, to sterta kamieni w wyschniętym korycie Rio Antiqua.

Ptak łopoce między drzewami jak zła wróżba, wybucha nad głowami ohydny chichotem i kpina. Trumny mają tutaj kształt charakterystyczny dla terenów nie obfitujących w wodę – wąskiego kanoe.

Pan Rulfo wyczesuje gzy z chudej kozy. Od tak dawna nie napił się mleka. Trumnę spuszczone do głębokiego dołu i zasypano. Przyniósł kilka płaskich kamieni,

od kiedy zaczął pisać „Pedro Paramo”, zimny księżyc wbił mu ostrze w napięte gardło: srebrnego kleszcza.

CIORAN

Sekwana obróciła się plecami do Paryża,
chcąc go zalać. Sunące we mgle kutry widziano
na Polach Elizejskich. Garbaty dzwonnik z Notre Dame
już dawno znalazł się pod wodą.

Dymy jesiennych liści, płonące na dziedzińcach,
wciąż szurają echem w kanałach. I tak upływa dzień
za dniem: szlamem na ulicach. W rzeźniach sterczą
puste haki do wędzonych kiełbas.

W jadłodajniach ryż zmieszał się z jęczmieniem i
fasolą sojową. Kucharka Pepi w pończochach ze
szwem daremnie czeka na swojego szofera
w długiej skórzanej kurtce.

Po rozlewiskach starej stolicy brodzi pan Cioran
w dziurawych kaloszach. Przypatruje się
robotnikom robiącym prowizoryczne tamy
ze stosu desek i rolek papy.

Jego twarz jest obrzękła – widać charakterystyczne
wędrujące zaczerwienienie: żerującego
kleszcza.

PAVESE

Pod koniec lata Tybr staje się płytką lurą, cuchnącą wodorostami. Holenderscy turyści biegają z brzegu na brzeg po kocich łbach, wystających z wody. Gęsi wyskubują mech z wilgotnych kamieni.

Kundle o skołtunionej i nastroszonej sierści wychłptały z drzemiących bajorek wodę. Nad promenadą unosi się chmara komarów. Litery neonu: HOTEL palą się na niebiesko.

Butwieje cisza w recepcji. Boy podniósł rolety na drugim piętrze w pustych pokojach. W zmierzchu zamajaczyły gołe ściany. Na kołdrze dyszy salamandra. Lustro wielkości szafy jest studnią artezyjską.

Pan Pavese uparcie gryzmoli coś na marginesach „Dialogów z Leukoteą”. Robi ciągle korektę mitologicznych widm. Jest obuty w modne żółte lakierki. Liczy pigułki, próbując wydostać się z matni.

Nalewa wody do szklanki. Zdejmuje wytworny garnitur, białą wykrochmaloną koszulę i błękitny krawat w zielone groszki – po połknięciu ostatniej pigułki z jego warg wylazi kleszcz.

NIKIFOR

Na głowie bury
kapelusz, w ręce garnek cebuli, w kieszeni
farbki, widelec.

Wcale nie jest posłańcem ani jakimś prorokiem,
nikt na niego nie czeka.
Suche badyle warzyw wiodą mnisi
żywot – chroni się w nich wraz z prążkiem
cienia.

Po żółtym polu chodzą marzenia i bocian
jak stary, chudy eunuch. Przeszłość może
istnieje, a nie ma przyszłości,
z obu stron drogi.

Ludzie wokół niego mają cienko zaostrome
dzioby. Miasta, przez które mija, przypominają
kadłuby statków, oblepione przez oślizgłe
rozgwiazdy.

Jakże blade jest czoło, pod jakim zwałaniają się
kłębki namalowanych
chmur – zimny kleszcz...

WEIL

Zimny, brzydki dzień w sanatorium w Ashford.
Zaraz po trzeciej ściemniło się. W wysokie okna
lepi się ni to śnieg, ni to deszcz. Obudziła się
wcześnie i patrzy w oblodzoną gałąź, którą
roztapia odwilż.

Na dworze jakiś człowiek tłucze kamienie.
Poza tym dzień jest zupełnie cichy. Czasem tylko
zaszemrzą paciorki wody zerwane z gołych
drzew. Starzec kuje i kuje, tak jakby tam, na
zewnątrz, biło jakieś serce.

Niemota świata jest nie do zniesienia. Bóg,
tworząc go, ograniczył własną nieskończoność,
by umożliwić stworzeniom autonomiczne
istnienie – myśli, a gęsta, biaława mgła zasnuwa
sanatoryjny park.

Znów zapalono lampy niepamięci przed każdą
twarzą przezroczystych pensjonariuszek. Cały dzień
męczył je sienny katar. Wyszywały sobie fartuszki
czarną włóczką. Jakież to nonsens
coś robić!

A może ja już umarłam i udaję tylko, że tu
żyję...? – westchnęła, zanim się stała
aortą pomiędzy niczym a materialnością.
Na podłodze

pielęgniarze znaleźli kleszcza
na pustej kartce.



ILUMINACYJNE



KARTOFLE

zapadnięte szopy, za którymi płaskowyż,
łąki, bagna i stawy. ludzie wykopują tu klocki
torfu, co suszy się spiętrzony od czwartej
godziny rano.

nikt nie chce przecisnąć się przez wrota skrzypiące
ból, o wiele za wąskie dla ciała. świeżo bielone.
dyszy pośpiesznie zaciśnięta krtań między farbującymi
ścianami.

matki w kuchniach wydrapują hafty z połatanych
koszul. synowie polegli na kolejnej wojnie. upłynął już
kawałek czasu w szklance
bez herbaty.

wszędzie cisza, nie ma stworzeń, pozostały tylko
barwy: żyto żółte, jęczmień biały, owies zielony,
maki liliowe. na polu kwitną kartofle – zaszyfrowane
wiersze Drogi

Mlecznej.

OGRYZEK

okołoziemskie satelity otrzymują coraz więcej sygnałów od obcych cywilizacji – są to ciemnobrunatne i błękitno zielone tony, przez które prześwieca wygwieżdżone niebo. nad pustynią Atakama w Chile dźwięki mają korzenie grube i gruzłowate, inne są jak garść prosa, które rozsiał kosmiczny wiatr.

w wyludnionych Podpłomkach zauważono dziwne zjawisko: ze starej, uschniętej gruszy zaczęły spadać okrągłe gruszcзки, twarde niby kamienie. dawniej je zbieraliśmy w kosze od bielizny – wyznaje wiekowa staruszka Iwa – skakały po naszych plecach. były kanarkowego koloru. skórkę miały cieniutką, pestki drobne i czarne.

grusza-fetysz w samym środku wioski na koniec pokryła się kolcami. sondy od wielu lat mkną na spotkanie tego, co pobrzękuje we wszechświecie. drzewo nie ma już pnia. to mizerny ogryzek, garść szczyrzących się pestek.

DROGA

droga uparła się być drogą. śpi
zwinęta na mojej piersi jak tobołek.
złapię na niej autobus.

śmiejemy między wodą a mgłą. brzegi nadają
się do motania historii. nurt przesuwają się pod
drzewami. zapaliły się latarki wędkarzy.

to znów woda na młyn. kiedy dni wdowieją
od główki szpilki w oku. w sklepie kradziono skrzynię
ze świecami z parafiny i z wosku.

kobiety odczesują włos ze skroni. wychodzą na
drogę bosą albo pończochach z wełny czarnej
owcy. płaczą za

dużo, z twarzami wciśniętymi w poduszkę.
srebrny miesiąc obwahał niemal wszystkie
begonie. zmarszczone są

ręce praczek. świętość jawi się
w krótkim kaszlnięciu, zatopionym w szemraniu
wody i szumie situ.

matka zżuła sandały, żeby lepiej czuć
ryby pod stopami. święta. strużka, strużyna, droga
moja, z

rannymi, z dziećmi, kociętami, kurami, świeżo
wyklutymi kurczętami
w kieszeniach....

PAPUGA

Na półkuli północnej duże kolonie aut,
turystów, policjantów z radiotelefonami –
Twarze pełne zawziętości, uporu.

Obserwuję pod prysznicem mydliny,
spływające do kratki ściekowej. Czy jestem
już umyty?

Twoja postać w pościeli: chuda, o
brązowym pigmentcie ciała, rasowa,
o czarnych włosach.

Fluoryzujący tusz niebieski rozrzuca po
zaparowanej powierzchni lustra światło,
którego źródła nie widać.

Tymczasem outsiderzy palą ognisko na jednej
z Plejad, jedzą pieczone kartofle i piją z gwinta
jakby tuż obok, na podwórzu...

Czemu nagle przypominają mi się płótna
Turnera? Na łodzi nie dostaje się przecież
morskiej choroby?

Sznurowadła, które pousychały bez butów...
Po kiego diabła trzymam je w
szufladzie?

I dlaczego w naszym przedpokoju wisi
papuga gwinejska, wypchana, zamiast
oczu, mająca dwa czarne szkielek?

POIETYCZNE

Szósty krzyżyk – trzeba wziąć klamoty
i w palczastym listowiu jesionu łowić
spadające gwiazdy.

Coś zaklekotało mi w piersi i słychać
tylko lekki furkot przęślicy, kądzieli,
wrzeciona.

Omiatając miotełkami ostatnią głoskę,
właśnie skończyłem pić najsmutniejszy
z napoi – filiżankę słabej herbaty.

Lilipucieje wszechświat, dźwigam ubranie
niczym szafa. Odmawiam siwym włosom
myślenia, by nie zrobiła się piana.

Ziemia wciąż krąży po tej samej orbicie
jak przybita gwoździem. Zresztą ruchy planet
wiązane są zbyt ciężkimi żelaznymi bolcami.

Parkingowy kieruje ku mnie swój zaczepny
palec. Panie, nie ma już miejsca na postój,
między wierszami nie zmieści się już

żaden dureń.

TRANSWERSALNE

Mój wagon doczepiono ostatni,
takie nic, truchło klekocące w przeciągach
zmierzchów i świtów. Skołowany przykładałem
do piersi passiflorę, a wokół derwisze obracali się
wokół własnej osi. Tory zmieniały się, a szyny
były miękkie jak poduszka wyszyta włóczką.
Jedynie szyba brzęczała ciężarna krajobrazami.
Przyschnięta myśl zwijała się ukosem za
oddalaniem. Wszedł pierzasty konduktor
ze zwiniętymi skrzydłami u skórzanego pasa
i powiedział, że głębiej się nie dojedzie po
białej kartce. Jest coraz niemiej, a będzie
jeszcze bardziej niemo. Na języku pasażerów
rozpleniła się włośnica sina. Jechałem z ludźmi
zbitymi z pantaląku – nadymali policzki i fukali
na rzeczywistość w kształcie ćwiartki koła.
Ktoś próbował wyperswadować mi, że nastąpi
przeziadka w Modrzewiowej Dulce, stąd do
wieczności. Parsknąłem na to śmiechem,
właśnie wracałem stamtąd i zachrząściłem
żwirem w kieszeniach, a

nie niebem.

COOL FINAL

Pomimo przetrząśnięcia teleskopami najdalszych mgławic, świat nie odnalazł piątej klepki.

W brzuchu wszechświata słyszymy tylko własne sapanie; krzątają się ludzie, chociaż świadomość niczego i tak wylezie z dziurki od guzika.

Punktualnie o dwunastej do ratusza chmara Mikołajów przywozi w saniach czarną, szczelną niczym trumna tekę: pozew przeciw ociepleniu.

Niski, przywiedły i siwowłosy, podobny do pokrytej szronem sosnowej szyszki, medialny trefniś nocami łązi po knajpach.

U wyjścia sceny stoją barki naładowane rajskimi owocami, skrzydlate motorówki prują krążek nieba, biuralista wysypuje na widownię pogięte gwoździe.

Bezdomnym bieleją wąsy pod skrzypiącym Wielkim Wozem – snią świerkowy dom, cały w płynącej żywicy i pszczołę gramolącą się do papierowego kwiatu, który się huśta.

Na wszelki wypadek mieszkańcy Rubieży wzmacniają piwnicę żelazobetonem przed atakiem nuklearnym i wymoszczają ziemią z przydomowego ogródka.

Planeta trwa na smyczy dyndającego pendrajwa, który zawiera historię powszechną, tchnienie

Boga, czyli wielkie bum bum a w nim szkarłupnie,
amonity, sinice, trylobity,

reszta to zmrożona czeluszć bez
rezonansu.

POPIÓŁ



POPIÓŁ

Suchy oset rośnie w piersiach. Przebudził się stary Mnemon, koneser chaosu. Pasożyt równoleżników i południków atakuje żyły, powodując bezustanne krwawienia. Przeładowane torby, walizki i wózki dziecięce opuszczają wybrzeża pamięci,

zamaskowane wojsko kłuje bagnetami ciężarne miejsca granic. Przesuwając palce po chropowatej powierzchni globusa czuje się wydrapane wyznania wygnańców z tuneli metra

broczące w Europę. A jeszcze wczoraj świat był sadem, morzem z rozgwiadą, deltą rzeki niebieskiej. Pod starym, rozeschłym mostem przesuwały się barki. Dzisiaj w tkance tej ziemi rozpycha się ostry pazur polarnego niedźwiedzia,

lecz popiół leży na wszystkim, jak pożywka do działań deszyfrujących rejony czyjejs wielkiej herezji.

POPIÓŁ II

Ktoś starannie wypełniał niebo dymiącym pędzlem,
żeby się obróciło od błękitu
w złą czerń. A

tamtego dnia matka miała wełnianą chustę. Pamiętam,
był lekki mróz, lecz ziemia tyła pamięcią wrzucanego
w nią ziarna.

Teraz przeszłość i przyszłość zastyga między palcami.
Okadza cegłówki ściany dym z palonych tu ognisk.
Morze stało się cząstką przypływu

i odpływu czegoś, co jest
od niego większe, jest ironicznym stemplem
w wypalonym pejzażu. W księżycową noc światło ma

matki pomiętą chustę i jej zielone, smutkiem
poplamione źrenice, słone solą
nadziei.

POPIÓŁ III

Wiatr wywiewa popioły. Mężczyźni
niby duchy poznicali w żałobnej bieli okopconych
firanek. Wrócili, ale nie wszyscy. Dziś w zburzonych
domostwach przykryto strzaskanym szkłem
kreski, wiodące w górę,
narysowane ołówkiem na wyblakłej
tapecie kogoś, kto rozważał tajemniczy kosmos
Sefirot.

POPIÓŁ IV

Po szkliwie nieba przesuwiają się rybackie kutry.
Jeży się sierść galaktyk.
Szkielety zrudziałych brzóz na tle zrudziałych
ruin: miękkimi ściereczkami - zmywaj je
pod powiekami. Jutro ciebie ubiorą
we włochaty kir chwały i pójdiesz, mijając
rzędy ksiąg oprawionych w skórę, chociaż
hymny potęgi wyśpiewały metale. Zamruga
lodowe oko zimnej Gwiazdy Polarnej. Posypiesz
łóżko

popiołem.

UŚPIONE

Drzewo świętojańskie ma okres uśpiania 15 lat;
Nasiona lotosu – 800 lat;
Zamrożony arktyczny łubin trwa w stanie uśpiania
Do 10 000 lat...

A ja?



BOGDAN NOWICKI



Bogdan Nowicki - ur. 9 kwietnia 1963 w Rudzie Śląskiej. Doktor nauk humanistycznych, poeta, prozaik, eseista, literaturoznawca. Debiutował w „Tak i Nie” w roku 1986 publikacją poezji. Interesuje go kondycja człowieka w tzw. epoce postnowoczesnej, a także jego relacje z naturą oraz utraconą Transcendencją.

Publikował m.in. w czasopismach: „Twórczość”, „Topos”, „Odra”, „Akcent”, „Akant”, „Wyspa”, „Opcje”, „FA-art”, „Kresy”, „Red.” czy „Śląsk”, z którym współpracował jako recenzent.

Autor książki o Brunonie Schulzu pt. *Konduktor wagonu sypialnego* (Kraków 2018), tomików poetyckich: *Centaurowo* (Kraków 2017) oraz *Drezyny* (Kraków 2018), a także zbioru esejów pt. *Bogowie mają wełniane nogi* (Kraków 2019).

Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Mieszka w Świętochłowicach.



SPIS TREŚCI

ENNEADY

ENNEADY . . .	7
PATHOS . . .	8
DROGA MLECZNA . . .	9
KONFITURY . . .	10
STROICIEL LITER . . .	11
SPRZEDAWCY SOLI . . .	12
KALIGULA . . .	13
MEDEA . . .	14
LUTNIA . . .	15

TOPOIDY

JASNA POLANA . . .	19
PETERSBURG . . .	20
GURZUF . . .	21
MUSTAMAKI . . .	22
GRASSE . . .	23
MIĘDZYDROJE . . .	24
STRYDON . . .	25
WARSZAWA . . .	26
WYZYSKOWICE . . .	27

DZIELNICA CH.

CHWIŁA W DZIELNICY CH. . . .	31
RAPORT Z DZIELNICY CH. . . .	32
PRZEDŚWIT W DZIELNICY CH. . . .	33
POWIDOKI W DZIELNICY CH. . . .	34
DOM SPOKOJNEGO DZIECIŃSTWA W DZIELNICY CH. . . .	35
SZAFY W DZIELNICY CH. . . .	36
SEN W DZIELNICY CH. . . .	37
ZMIERZCH NAD DZIELNICĄ CH. . . .	38
SZKLARZE W DZIELNICY CH. . . .	39
TĘSKNOTA ZA DZIELNICĄ CH. . . .	40

RODZINNE

CERATA . . .	43
MUNDURY . . .	44
KRZEW . . .	45
TERMOFOR . . .	46
SZYBA . . .	47
FLĄDRA . . .	48
POGRUSZEK . . .	49
CHUSTA . . .	50
SIOSTRA . . .	51
OFELIA Z WOSZCZELI . . .	52

TRWANIE

ETUI . . .	55
TRWANIE . . .	56
JONASZ . . .	57
KONKWISTADORZY . . .	58
WIELORYBNICY . . .	60
ZIMNA WYSPA . . .	61
PEAN NA CZEŚĆ KOTA . . .	62
JEŻ . . .	63

WYCIĄGACZ KLESZCZY

KAFKA . . .	67
KERTESZ. . .	68
RULFO . . .	69
CIORAN . . .	70
PAVESE . . .	71
NIKIFOR . . .	72
WEIL . . .	73

ILUMINACYJNE

KARTOFLE . . .	77
OGRYZEK . . .	78
DROGA . . .	79
PAPUGA . . .	80
POIETYCZNE . . .	81
TRANSWERSALNE . . .	82
COOL FINAL . . .	83

POPIÓŁ

POPIÓŁ . . . 87
POPIÓŁ II . . . 88
POPIÓŁ III . . . 89
POPIÓŁ IV . . . 90
UŚPIONE . . . 91

Notka biograficzna . . . 93

W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrzcz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XV, Osiodlane myśli*, Bielawa 2015.
- *Sudecka poezja i proza XVI, IV Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2015.

- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza XVII, Dziennik pieszycki*, Bielawa 2016.
- Barbara Bulerska, *Sudecka poezja i proza XVIII, Kartki z kalendara*, Bielawa 2016.
- *Sudecka poezja i proza XIX, V Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2016.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XX, Mortum urbi*, Bielawa 2017.
- Weronika Karwacka, *Sudecka poezja i proza XXI, Młodzi gniewni*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXII, VI Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXIII, Sudeckiej biblioteki impresje: Wybór wierszy*, Bielawa 2017.
- Dorota Ciszewska, *Sudecka poezja i proza XXIV, Chmura życia*, Bielawa 2018.
- Roman Gargas, *Sudecka poezja i proza XXV, Mistrz i Krystyna*, Bielawa 2018.
- *Sudecka poezja i proza XXVI, VII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2018.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XXVII, W rosochach myśli*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXVIII, Sudeckiej biblioteki impresje 2019. Wybór wierszy*, Bielawa 2019.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXIX, Im-puls*, Bielawa 2019.
- Paweł Stolarski, *Sudecka poezja i proza XXX, Prototyp*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXI, VIII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXII, Sudeckiej biblioteki impresje 2020. Wybór wierszy*, Bielawa 2020.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXXIII, c(i)ałokształt*, Bielawa 2020.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza XXXIV, Tatuże*, Bielawa 2020.

- Maciej Henryk Modzelewski, *Sudecka poezja i proza XXXV, (L)istnienie*, Bielawa 2020.
- *Sudecka poezja i proza XXXVI, IX Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2020.
- *Sudecka poezja i proza XXXVII, Sudeckiej biblioteki impresje 2021. Wybór wierszy*, Bielawa 2021.
- *Sudecka poezja i proza XXXVIII, X Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2021.
- Małgorzata Dudek, *Sudecka poezja i proza XXXIX, Wśród tchórzy wraków*, Bielawa 2022.
- *Sudecka poezja i proza XL, Sudeckiej biblioteki impresje 2022. Wybór wierszy*, Bielawa 2022.
- *Sudecka poezja i proza XLI, XI Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2022.